didaskalia
gazeta teatralna

Z numeru: **Didaskalia 161**
Data wydania: luty 2021
Źródło: https://didaskalia.pl/pl/artykul/polemika-nie-polemika

/ #METOO

Polemika to nie „polemiká”

Krzysztof Bielawski

Słowo *polemika* technicznie jest mnogą, neutralną formą greckiego przymiotnika *polemikos*, utworzonego od rzeczownika *polemos* – „wojna”. Oznacza ono w starej grece „te rzeczy/sprawy, które odnoszą się do wojny”, „sprawy wojenne”, w pewnym sensie wyraża to, co jedno z haseł Strajku Kobiet: „to jest wojna”. W polszczyźnie zadomowione i sprowadzone do *singularis*, powoli traci swoje wojenne konotacje i mnogą neutralność, akcent niepostrzeżenie w potocznym języku przesuwa się na drugą od końca, chociaż jak w przypadku każdego słowa obcego pochodzenia powinien pozostawać na trzeciej. Wypowiedź polemiczna to taka, która podejmuje dyskusję z jakimś innym wystąpieniem w celu zaprezentowania stanowiska odmiennego, przeciwnego, krytycznego. W nauce, publicystyce czy debacie jest polemika narzędziem poszerzania zakresu dyskusji, przywracania kompletności spojrzenia, wskazywania na błędy za pomocą rzetelnej argumentacji, bywa też narzędziem obrony przed atakiem na własne poglądy – w każdym z tych wypadków odsłania swoją moc lub słabość, tak samo jak w sztuce wojennej, poprzez weryfikowalną skuteczność argumentacyjną. Bywa

jednak tak, że ta wymiana opinii dokonuje się w zaiste pierwotnie etymologicznym środowisku – to znaczy środowisku zdecydowanie wojennym, w którym ani racje, ani argumenty, ani nawet słuszna obrona nie mają żadnego znaczenia, ponieważ – jak to w wojnie (*polemos*) – idzie tylko o zniszczenie przeciwnika na tyle skutecznie, by żadna debata nie była już możliwa ani potrzebna. Żadna, choćby najbardziej jedynie symboliczna Norymberga nie jawi się na horyzoncie, ponieważ w tym, co jest *polemiká*, a nie polemiką, dawanie pola wypowiedzi przeciwnikowi, oprawcy, jest jedynie brudzeniem posprzątanego już pola, na którym nie może zalegać żaden pyłek czy okruch argumentacji, prawa do obrony, domniemania niewinności czy innych cywilizacyjnych zdobyczy, chętnie przywoływanych w każdym innym miejscu, byle nie zakłócać tryumfu zwycięzców.

Bywają spory kształtowane od pierwszej iskry w taki sposób, by polemiczność, *votum separatum* czy też – nie daj boże (*quod absit*) – sympatyzowanie w jakiejkolwiek sprawie z inkryminowanym przedmiotem sporu w ogóle nie było możliwe, by nawet próba zdystansowanej debaty natychmiast spontanicznie rozpoznawana była jako zdrada stanu podlegająca karze najwyższej, no, przynajmniej całkowitego wykluczenia i skazania na dalsze życie w niesławie z piętnem opowiedzenia się po niewłaściwej stronie.

Do takiej debaty, która jest z natury rzeczy i od samego początku *polemiká*, a nie polemiką, zaliczam spór o Staniewskiego i „Gardzienice” toczący się w perspektywie publikacji oskarżających *nominatim* dyrektora teatru, Włodzimierza Staniewskiego, o przemoc psychiczną i fizyczną, mobbing, naruszanie nietykalności cielesnej dawnych jego współpracownic. Teksty fundacyjne tej debaty dobrze są znane i łatwo dostępne, przetoczyły się przez największe dzienniki papierowe i internetowe, wymienia je też szczegółowo Marcin Kościelniak w swoim komentarzu do tekstu Leszka

Kolankiewicza z listopadowego numeru Didaskaliów[1] i nie ma potrzeby ich tutaj przywoływać.

Wystąpienia byłych pracownic i współpracownic Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice" nazywane są – za tytułem pierwszej z tych publikacji – „coming outami" lub „świadectwami". Podnoszą ważny problem i stanowią wezwanie do głębokiej zmiany, spełniają się w kontekście społecznym, na który długo musiały czekać – w kontekście debat wokół ruchu #MeToo, wokół nadużyć seksualnych w Kościele oraz kulturowej rewolucji Strajku Kobiet. Tak, wystąpienia te kategorycznie i bezdyskusyjnie „w sposób zasadniczy zmieniają obraz polskiego teatru". Wyznaczają kierunek, który jest kierunkiem nieuchronnych zmian, reform, które muszą nadążać za swoimi czasami, zmiany te dotykają świata polityki, Kościoła, akademii, sztuki, a także prawa. I tak jest dobrze, i tak być powinno. Głosu świadectw trzeba wysłuchać, wnioski i konsekwencje należy wyciągnąć. Od początku tej dyskusji stałem na stanowisku, że nikomu nie wolno komentować treści publicznych wystąpień współpracowników teatru, którzy wypowiadają się o swoim cierpieniu i krzywdzie, ale także że nie należy nigdy zapominać o prawie do obrony i domniemaniu niewinności wskazanego z imienia i nazwiska sprawcy cierpień i krzywdy, że bardzo uważnie trzeba się posługiwać dużymi kwantyfikatorami: powtarzane uporczywie „wszyscy" i „wszystko" w kontekście już to badaczy, już to twórczości artystycznej, którzy i które *en bloc* domagają się natychmiastowego potępienia, budziły mój sprzeciw i odrazę. Mimo wszystko gazeta nie jest sądem, a fejsbuk ławą przysięgłych. Oto właśnie „wszyscy" poczuli się w obowiązku zajmować stanowisko z pełną świadomością, że niewiele mają do wyboru: mogą albo stanąć po stronie ofiar i wybrać jasną stronę mocy, albo też poddać głowę medialnemu katu i pędzić resztę życia w niesławie. Zdarzyli się i tacy, którzy usiłowali i mieć ciastko, i zjeść ciastko – podziękować, ale i równocześnie

potępić, okazało się też wtedy, że niektórym wolno bez konsekwencji napisać „nie wiedziałem", albo „owszem, zaczęło coś do mnie docierać i postanowiłem odejść", innym tego prawa odmówiono, do teraz nie wiem dlaczego, i co decyduje o tym, komu wolno.

To dziwne, że Marcin Kościelniak pod tekstem Kolankiewicza w konkluzji swojego komentarza zdaje się zarzucać Nestorowi i prawodawcy polskiej antropologii teatru, że swoim tekstem wyraża „stanowisko przeciwne" (wobec czego?) oraz – *implicite* – że tekst ten wyklucza nie tylko świadectwa, ale – niewybaczalne – także żywe osoby, że uczciwe sprawozdanie z wieloletnich badań jest aktem ponowionej przemocy wykluczenia o charakterze „strukturalnym, symbolicznym, systemowym". Że jest „wykluczeniem z archiwum i z dyskursu". Taka jest właśnie logika *polemiká* w przeciwieństwie do polemiki: jeśli tylko odważysz się nie krzyknąć gromko w chórze sędziów i określonej polityki historycznej czy innych wyklętych, wszystko, co napiszesz będzie użyte przeciwko tobie, wszystko czym jesteś, zostanie użyte przeciwko tobie. Śpij spokojnie: w siedemnastu stronach fascynującej opowieści z historii polskich badań teatrologicznych na pewno znajdą takie jedno zdanie, które będą ci wpychać do gardła, aż się udławisz. Reszta nie ma znaczenia, nikt słowem nie skomentuje, próżno czekać. Możesz, Leszku, zrobić jeszcze dwieście przypisów, możesz, Tadeuszu (Kornasiu), ponawiać oświadczenia o tym, jak wyglądała Twoja wytężona praca i rozmowy z aktorkami, możesz je przeklejać i dowodzić ich autoryzacji, ale teraz nikt tego nie zauważy, czytelniczy skaner przypomina podsłuch w mieszkaniu Jacka Kuronia: wyłapie najmniejszy błąd, najmniejsze potknięcie, najmniejsze wahanie, choćby to był tylko tembr głosu. W jakim sensie i wobec czego stanowisko Kolankiewicza jest zdaniem Kościelniaka „przeciwne"? Gdzie ta „przeciwność" się uwidacznia? Już spieszę wyjaśnić, ponieważ jest nam to rzetelnie zapodane. Jest to zdanie Kolankiewicza: „Nie

cofam i nie zmieniam ani jednego zdania – żadnego się nie wstydzę i nie żałuję. I podtrzymuję ocenę: «Gardzienice» to imponujące dokonanie teatru polskiego, mają swoje w pełni zasłużone miejsce w jego historii". Kiedy stanowisko, które jest w znacznej części suchym, encyklopedycznym wyliczeniem dat, publikacji i spotkań, byłoby ewentualnie „nieprzeciwne"? Domniemuję, że wtedy, kiedy autor kilkuset, lekko licząc, stron publikacji o „Gardzienicach", jednym gestem by własną pracę anihilował, kiedy uznałby, że w perspektywie „świadectw" wszystko, czego doświadczył jako widz, i wszystko, co napisał jako badacz, ulega całkowitemu unicestwieniu, kiedy by sprawił, by rękopisy zapłonęły. Otóż nie, nie ulega i nie płoną. A dlaczego nie ulega, to właśnie wyjaśnia dokładnie tekst Kolankiewicza. I argumentacji tam przyjętej nie ma potrzeby ani powtarzać, ani też poddawać jej jakiejkolwiek hermeneutyce. Nie zrobię tego i mam nadzieję, że nikt nie zrobi, bo nie ma najmniejszej potrzeby, wystarczy przeczytać. Póki co nie ma najmniejszej potrzeby także w tym sensie, że niezależnie od tego, kto i jak często by się do tej argumentacji odnosił, w polemicznym (po grecku) pyle bitewnym głos taki usłyszany nie zostanie. Nie ma też jednak wątpliwości, że ten pył kiedyś opadnie i także wtedy siła argumentu się odsłoni.

Obrona naukowego warsztatu w pracy nad zjawiskiem teatralnym, jakim są „Gardzienice", jest bowiem dzisiaj utożsamiana natychmiast z postawą obojętności, obrona artystycznego dorobku teatru staje się wyłącznie dowodem na współudział w przestępstwie. Można albo potępić wszystko, to znaczy: reżysera, niekrzyczących współpracowników, każdy spektakl, każde spotkanie, każdą rozmowę, każdą wyprawę, każde napisane zdanie, każdą publikację, każdą spędzoną w Gardzienicach chwilę, każde uderzenie dłoni w oklaskach po spektaklu gdzieś latach osiemdziesiątych, albo przyjąć na siebie winę za współudział, zasiąść na ławie oskarżonych i napawać się sławą złego. Mylą się ci, którym wydaje się, że mogą wygodnie milczeć, usunąć się

cień, przeczekać – mylą się, ponieważ za słynną rzymską frazą *qui tacit consentire videtur*, a do winy współuczestnictwa dopisane automatycznie zostaje jeszcze tchórzostwo. Taki pakiet.

Mamy tysiące stron badań, wywiadów, opinii, recenzji, mamy prace Leszka Kolankiewicza, szczegółowo wyliczone w jego artykule, mamy dwie monografie – Tadeusza Kornasia i Zbigniewa Taranienki, mamy stos publikacji Małgorzaty Dziewulskiej, Ireneusza Guszpita, mamy wreszcie wydaną przez Routledge i reedytowaną przez Cambridge University Press monografię Paula Allaina – by wspomnieć jedynie największe. Czy rzeczywiście jedynym pytaniem redakcji „Didaskaliów" do tych wybitnych badaczy jest wniosek o autodestrukcję, przyznanie się do winy, publiczne odwołanie każdego napisanego zdania w imię ustanawiania nowej przyszłości? Przepraszam: Redaktor postuluje najpierw jednak ustanowić nową przeszłość, a zaraz potem – nową przyszłość.

Tekst Leszka Kolankiewicza o jego współpracy naukowej z „Gardzienicami" opublikowany w „Didaskaliach" został opatrzony przez Redakcję kuriozalnym wpisem o „publikacji bez pełnej jednomyślności w zespole redakcyjnym". Dobrze wiedzieć, że wszystkie inne teksty przechodzą przez kolegium tylko przy pełnej jednomyślności, to cenny przyczynek do badań edytorskich i rozumienia kolegialności. Nie przestaję sobie zadawać pytania, co też mogą oznaczać te słowa o niejednomyślności. Nieco światła rzuca na tę zagadkę wystąpienie zastępcy redaktora naczelnego, Marcina Kościelniaka, opublikowane pod tytułem *Stanowisko. Przeciw-historia* w tym samym numerze „Didaskaliów". Światło to jest jednak, by tak rzec, nieco mroczne. Jest wyrazem dokładnie tego wielkiego wysiłku, który w nudnym wywodzie filologicznym usiłowałem wskazać powyżej: z polemiki (po polsku) redaktor Kościelniak próbuje koniecznie zrobić greckie *polemiká*, ze wszystkimi

opisanymi wyżej konsekwencjami. W pocie czoła usiłuje przy tym zachować akademicki dystans, powściągliwość i profesjonalizm – w końcu adiunkt w UJ to nie w kij dmuchał – jednak groźne pomruki „spraw wojennych" wyraźnie są słyszalne, zarówno w oświadczeniu redakcji, jak i wystąpieniu zastępcy redaktora naczelnego. Zawierają ostrzeżenie: „Czytelniku, bądź czujny! Jeśli nie dostrzeżesz w tekście Profesora nihilistycznego indyferentyzmu, tego karygodnego tchórzostwa wobec konieczności opowiedzenia się za prawdą – oto, czytelniku, przepadłeś! Oto opowiedziałeś się po złej stronie i poniesiesz tego, czytelniku, wieczne konsekwencje".

Nie podejmę się „obrony" Kolankiewicza, bo nic nie wskazuje na taką potrzebę, przynajmniej wobec tych, którzy zapoznają się z całym wywodem, a nie z jednym zdaniem, sądzę jednak, że redaktor Kościelniak rzeczywiście „minął się z intencjami Leszka Kolankiewicza" i wojenna kurzawa zakłóciła komunikację. Zastępca redaktora naczelnego „Didaskaliów" po prostu popełnił błąd merytoryczny, co się zdarza i wszyscy się z tego uczymy, pozostając w życzliwości, przyjaźni i debacie, o ile oczywiście uda nam się obronić akademię przed zamachem na wolność akademicką i akademickie wartości. Miewam wrażenie, że zagrożenie tych wartości wisi nad nami dzisiaj nie z jednej tylko strony.

Do publikacji oświadczenia, jak domniemuję, skłoniło redaktora „Didaskaliów" wojenne zakrzyknienie do rewizjonizmu (cóż za urocze słówko!) i kategorycznego potępienia, do postawy, w której *tertium non datur*. „Kto nie jest z wami, jest przeciwko wam" (Łk 9, 50). Ewangelie wkładają w usta tego samego Jezusa także inne słowa: „Kto nie jest przeciwko wam, jest z wami" (Mk 9, 40). Strasznie męczyli się z tą ostateczną i kategoryczną sprzecznością Ojcowie Kościoła. Heretycy bywają po prostu niedouczeni i chwytają się jednego zdania jak brat Ajschylosa

burty perskiego okrętu: zębami. Święty Hieronim cierpliwie wyjaśniał, że kiedy tekst święty w dwóch miejscach głosi prawdy sobie całkowicie przeciwne, to – ponieważ bóg nie może skłamać – i jedna, i druga prawda pozostają słuszne, ale dostrzegą to tylko ci, którzy rozumieją ducha ewangelii. Historia pokazała, jak niewielu go rozumie. Niejednokrotnie miałem osobiste wrażenie, że Staniewski błędnie rozpoznaje i lokuje przyjaciół i wrogów, co prędzej czy później obraca się przeciw niemu, przejmująco podobne wrażenie mam i teraz – znaczna część tych, którzy w tej debacie „nie są z wami", naprawdę „nie jest przeciwko wam".

Autor komentarza do tekstu Kolankiewicza szuka w tym tekście tego, czego w nim nie ma, dlatego, że nie powinno tego tam być. Strasznie przykre oraz – niech mi wybaczą zrzędliwość starego Pimki – w jakimś sensie dyskwalifikujące merytorycznie jest całkowite pominięcie milczeniem czterdziestu tysięcy znaków tekstu o dziejach profesjonalnego badania ważnego zjawiska teatralnego na przestrzeni ostatniego niemal półwiecza z zaznaczeniem i wyjaśnieniem (jak można jaśniej?) kontekstów społecznych, kulturowych, politycznych, środowiskowych i wynikających stąd ograniczeń. Wszak tej dziedzinie badań autor komentarza sam też chyba poświęcił życie, o czym zresztą pisze? „Didaskalia" to poważany periodyk naukowy z ministerialnej listy, a nie ambona takiej czy innej propagandy. To miejsce debaty, polemiki i krytyki, a nie agora do nieuprawnionych potępień, które lekceważą siłę argumentacji, nawet jeśli część tej debaty jest krzykiem lub płaczem.

Aktualnie wpadamy z deszczu pod rynnę i każdy, kto wyciągnie parasol, bo to widzi, staje się szaleńcem, przestępcą i ślepcem, mętem rozmywającym „prawdę", koniunkturalnym konformistą ratującym własną skórę. Wylewamy dziecko z kąpielą i każdy, kto rzuci się w to błoto, by i dziecko, i kąpiel

ratować, potępiony być musi jako niewrażliwy i sumienia pozbawiony antyrewolucyjny element. Otóż mniemam, że jednak jest co ratować, i w kąpieli, i w dziecku, a pod rynną nie jest lepiej niż w deszczu.

Tak się zupełnym zrządzeniem losu złożyło, że dokładnie w dniu publikacji tekstu o „Gardzienicach" w „Gazecie Wyborczej" miałem umówiony odłożony egzamin ze studentem teatrologii, który okazał się autorem owego tekstu. Po znakomicie zdanym egzaminie podziękowałem panu Witoldowi za artykuł i zwrócenie uwagi na problem, który w biegu błogosławionych zmian cywilizacyjnych dojrzał do tego, by go podjąć, by bez naruszania bezwzględnej, bezwarunkowej autonomii twórczości, sztuki i działalności artystycznej poddać debacie i koniecznie ewolucyjnym zmianom te sfery, które sprzyjają nadużyciom każdego rodzaju. I na to mam niezmienną nadzieję. Kibicowałem i kibicuję pani Rektor Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie Dorocie Segdzie w jej wysiłkach, by na te wyzwania odpowiedzieć i w taki sposób, by i deszcz, i rynna, i dziecko, i kąpiel zadały kłam przysłowiom, w których żyją, kibicuję reżyserowi i przyjacielowi Michałowi Teledze, który na rok przed publikacjami na temat „Gardzienic" podjął ten sam temat w sposób, w którym i sprawiedliwości staje się zadość, i życie z trudną pamięcią jest nadal możliwe, a przyszłości nie trzeba na nowo ustanawiać, ale można patrzeć w nią pogodnie i z nadzieją płynącą z doświadczenia i mądrości.

Jestem dobrej myśli. Jak przekonuje mnie w prywatnej rozmowie słynna socjolożka, dyskusja ta musi mieć swój rewolucyjny etap, musi przetoczyć się ta burza. Dobre i potrzebne są te osobiste wystąpienia, dobre i potrzebne są komentarze po obydwu stronach sporu się pojawiające, dobre i potrzebne są publikacje, choćby opatrzone niefortunnymi komentarzami redakcyjnymi. Dobre i potrzebne są głosy oburzenia. One też już stały się „dziedzictwem",

dorobkiem kultury, przedmiotem badań i refleksji naukowych pozostaną na długo, na zawsze. Zmieniły, zmieniają i będą zmieniać rzeczywistość środowisk artystycznych. I to bardzo dobrze. Tak, cena jest wysoka, a czas długi, ale warto.

Głosów przeciwnych świadectwom przemocy jest wiele i można je tak samo łatwo znaleźć i czytać. Logika sporu wtłoczonego w poetykę *polemiká* odbiera im jednak prawo istnienia, racji, ludzkiej uczciwości, stawia pod pręgierzem już to koniunkturalizmu, już to braku zdolności do poprawnej analizy własnego ludzkiego statusu w perspektywie imponderabiliów. To bardzo przykre i na zawsze pozostanie skazą rewolucjonistów.

Środowisko naukowe zostało wezwane do rewizji swoich poglądów, publikacji, badań, do „rewizji narracji, które ustanawiają przeszłość" w imię „sprawiedliwego ustanawiania na nowo przyszłości". Niepokoi mnie w tym manifeście i jedno, i drugie: to znaczy nie da się „ustanawiać" ani przeszłości, ani przyszłości. To jest postulat niepokojąco przypominający wszelkie „polityki historyczne". Przeszłość – w tym wypadku rzetelne sprawozdanie z prowadzonych badań – szczegółowo, z datami i przypisami opisana przez Kolankiewicza działa się w swojej teraźniejszości na podstawie wtedy dostępnych danych i natychmiast po pierwszym wybrzmieniu stała się już na zawsze częścią historii i historii badań. Skutkiem nowych danych, w archeologii na przykład – nowych odkryć, nowych tekstów pojawiają się gwałtowne zwroty, które zmuszają do rewizji wniosków z badań dokonywanych na podstawie tych danych, które w danym momencie były dostępne, nikt jednak nie postuluje, by te wcześniejsze badania unicestwiać ani też by jakąś nową przeszłość ustanawiać. Nie można wymagać odszczekania publikowanych wyników badań, dokonywanych rzetelnie i uczciwie bez dostępu do danych, które pojawiły się w stosunku do nich

później. Odczytanie pisma linearnego B przez Chadwicka i Ventrisa w roku 1953, czy też hieroglifów przez Champoliona w roku 1822 gwałtownie zmieniły bieg nauki dostarczając nowych danych, w znacznym stopniu również unieważniły stanowiska wcześniejsze i nauka bez uwzględniania znaczenia tych odkryć nie jest możliwa, jednak nie oznacza to konieczności czy choćby możliwości unicestwienia badań wcześniejszych, zmienia się status wiedzy, przeszłości, do której należą też wcześniejsze badania na nowo „ustanowić" się nie da. Oskarżenie o współudział środowiska naukowego, jakie wybrzmiewa w niektórych wystąpieniach, zawiera zarzut o kłamstwo i zatajenie: widzieli, a nie mówili. Stanowiska Tadeusza Kornasia, Leszka Kolankiewicza czy Ireneusza Guszpita, a także pozostałych pięciu sygnatariuszy oświadczenia przedstawicieli akademii na temat dyskusji wokół „Gardzienic"[2] wyraźnie i jasno ten zarzut odrzucają. Badania te dokonywane były uczciwie, w dobrej wierze traktując także wypowiedzi pracowników i pracowniczek teatru, które po latach postanowiły zmienić swoją tzw. narrację. Kiedy czytamy przywołane przez Kornasia wypowiedzi aktorek „Gardzienic" w kontekście bieżącej dyskusji zadajemy sobie, lub jesteśmy zmuszani do szukania odpowiedzi na proste pytanie: kto kłamie? Kłamać można z różnych powodów, także ze strachu lub ze środka straszliwej – uświadomionej wcześniej lub później lub nieuświadomionej – manipulacji. Nie można jednak wzywać do odwołania stanowisk tego, kto nieprawdę usłyszaną i autoryzowaną zapisał w dobrej wierze, a nie tego, kto ją formułował. Oświadczenia i Kornasia, i Kolankiewicza, o tym, że nie widzą powodu, by choćby jedno zdanie w swoich publikacjach zmienić, jest oparte na poczuciu naukowej uczciwości. Wzywanie ich do odszczekiwania rzetelnie zdobywanych opinii w zaufaniu do rozmówców jest nacechowane ideologiczną przemocą i jest niedopuszczalne. Te aspekty historii badań jednak są konsekwentnie pomijane i przemilczane. Słyszalne jest jedynie

nawoływanie do odwołania, potępienia, w tym potępienia samych siebie oraz przedmiotu własnych badań. Uwagę redaktora „Didaskaliów" przyciąga jedno zdanie w artykule Kolankiewicza – reszty jakby w ogóle nie było. Jakby nie było argumentacji i wyjaśnień, wysiłku i dorobku, który już należy do kanonu dyscypliny. Bo w *polemiká* nie idzie o rozumienie i twórczy wysiłek z tego rozumienia płynący, ale o znane z partyjnej egzekutywy czy inkwizycyjnego procesu wyznanie grzechów, pokutę i samowykluczenie. Karą staje się samo istnienie.

Niepokoi mnie też, że takie samo wezwanie do rewizji własnych stanowisk, zapisanych, wydrukowanych po autoryzacji przecież, uwiecznionych na wiele sposobów, nie jest kierowane do autorek i autorów świadectw dawnych przekroczeń, które wszak treści zupełnie przeciwne dzisiejszym przynoszą. Niepokoi mnie brak reakcji na wystąpienie Tadeusza Kornasia, który przywołuje wielogodzinne rozmowy ze współpracowniczkami teatru, w których nie ma śladu ani najmniejszego echa dzisiejszych wystąpień. Oto wzywany jest dzisiaj do zakwestionowania swojego naukowego dorobku, chociaż zrobił wszystko, by jego „narracja" była uczciwa. Ci, którzy wówczas karmili go „faktami", które przyjmował w dobrej wierze, drukował za ich przyzwoleniem, ci, którzy entuzjastycznie recenzowali jego książkę, dzisiaj domagają się odszczekania wszystkiego, obwiniając go o nieuczciwość i współudział w przestępstwie, chociaż to nie on kłamał. Ci, którzy wysłuchiwali, czytali, spisywali i komentowali entuzjastyczne wypowiedzi i wyznania aktorek i współpracowniczek dziś oskarżani są o kłamstwo, chociaż to nie oni kłamali.

Refleksja nad teatrem „Gardzienice" od września 2020 roku uległa zmianie, nie jest i nie będzie możliwe abstrahowanie tego, co stało się aktualnie wyraźnie wypowiedzianą częścią historii tego teatru – nikt, a już na pewno

nie Leszek Kolankiewicz – nie ogłosił projektu „wykluczania świadectw i autorek z dyskursu”, nikt nie jest w mocy wykluczyć je „z archiwów”. To niemożliwe. Tutaj redakcja „Didaskaliów” może spać spokojnie. To niemożliwe, całe szczęście. Szkoda wielka, że ktoś nieopatrznie takie treści zdołał wyczytać.

Autor/ka

Krzysztof Bielawski

Krzysztof Bielawski – profesor w Instytucie Filologii Klasycznej UJ, absolwent Wydziału Teologicznego PAT, wykładowca AST w Krakowie. Patrolog, tłumacz, współzałożyciel i wieloletni redaktor naczelny Wydawnictwa Homini. Affiliated Fellow Akademii Amerykańskiej w Rzymie, stypendysta m.in. Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Fundacji Batorego, Fundacji z Brzezia Lanckorońskich. Stały współpracownik teatru Gardzienice, wykładowca Akademii Praktyk Teatralnych Gardzienice. Zajmuje się badaniami nad leksykografią grecką, antycznymi fragmentami muzycznymi, kultami misteryjnymi oraz związkami tragedii z teologią. Wydał m.in: *Terminy rytualno-kultowe w tragedii greckiej epoki klasycznej* (2004), *Teksty poetyckie greckich fragmentów muzycznych* (2012), *Ani święty, ani spokój. Sylwy religijne – antyk, chrześcijaństwo* (2013), *Delficki trójnóg. Sentencje delfickie* (2017), *Ofiara krwawa w Grecji starożytnej w świetle danych filologicznych: tragedia attycka* (2017).

Przypisy

1. Marcin Kościelniak, *Stanowisko. Przeciw-historia*, „Didaskalia” 2020, nr 160, https://didaskalia.pl/pl/artykul/stanowisko-przeciw-historia [dostęp: 26 II 2021].
2. *Kraj. Oświadczenie przedstawicieli środowiska naukowego ws. Gardzienic*, 20 XI 2020, https://e-teatr.pl/kraj-oswiadczenie-przedstawicieli-srodowiska-naukowego-ws-gardzienic-5798 [dostęp: 26 II 2021].

Źródło: *https://didaskalia.pl/artykul/polemika-nie-polemika*